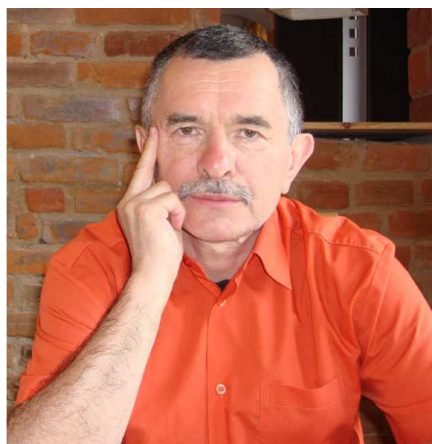


Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (10)

(fragmenty)



2009

Trzyma się, ale...

(Rzecz dzieje się na jubileuszu 50-lecia pracy naukowej eksministra Bolka Farona).

- Popatrz na profesora Krawczuka – cmokam z zachwytem – przecież on ma 87 lat! A jak chodzi, jak mówi, jak się trzyma!

- Trzymać to on się jeszcze trzyma, ale puścić to on się już... nie puści – ripostuje przytomnie doktor Agnieszka. Patrzę na nią, ma lat trzydzieści parę; dobrze ci tak mówić, dziewczyno, myślę...

Po jubileuszu zadaję panu Aleksandrowi żartobliwe pytanie, co robić, żeby tak długo jak on żyć i taką świetną kondycję zachować. Zajmować się „antykami”?

- Po pierwsze: mieć dobre geny – mówi – po drugie: decyduje o tym zbieg szczęśliwych, niezależnych od człowieka okoliczności, ot, na przykład to, że się wcześniej nie wpadło pod koła auta albo że nie spadł panu na głowę sople z dachu kamienicy... po trzecie: współczesna medycyna wydłużająca życie; tu pana przytną, tam panu coś dodadzą; po czwarte: życzliwy, pogodny stosunek do ludzi i świata, jakiś rodzaj otwartości – nie zazdrościć bliźniemu, umieć się cieszyć nie tylko z własnych sukcesów... po piąte: mieć świadomość, że już wszystko, co jest, było, ot choćby w starożytnej Grecji czy Rzymie, czyli mieć dystans do własnych przeżyć, do własnego życia... po szóste: ...ale przepraszam, bo nadjeżdża mój autobus, pogadamy o tym, panie poeto, następnym razem...

Ja w roli wieszczka i oświęcimia

Na wernisazu jubileuszowym Leszka Dutki, pijąc wódkę z Kubą Rozpruwaczem krakowskiej krytyki Pawłem Głowackim, zapytałem go, czy już przeczytał mój „Przystanek Marzenie”. Paweł zaczął się wymawiać, bo jak mówi, ma tyle książek do czytania, że mojej jeszcze nie zaczął. Na to ja przytomnie i z właściwą sobie skromnością, bo byłem już nieźle wlny: – Pawle, wyobraź sobie, że Goethe przesyła swoją książkę, na przykład „Fausta”, znanemu w tamtych czasach krytykowi. A ten mu na to: – Kollege Wolfgang, cierpliwości, co pan taki w gorącej wodzie kąpany, niech pan czeka w kolejce, bo mam do czytania stos innych ważnych książek...

W trzy dni zostaję jednak strącony z piedestału wieszczka do parteru w szpitalu imienia Rydygiera, gdzie po biurokratycznych korowodach (skróconych telefonami życzliwego mi doktora Henryka Łabzy) dostaję się wreszcie do sali na zabieg kolonoskopii. Najpierw każą mi się rozebrać od pasa, tak że dzwonię swoim dzwonkiem na oczach czterech asystujących pań, ale zanim wezmą mnie na stół pod prześcieradło, pani doktor obsztorcowuje mnie z góry na dół za to, że nie przyniosłem karty chorobowej. Następnie każe mi się ubrać i wracać na IV piętro na salę chirurgii ogólnej, skąd przyszedłem. Nic nie mówiąc, ubieram się. Na szczęście nie ma nikogo innego w kolejce, tak że pani doktor po chwili łagodnie i telefonuje na oddział chirurgii: – Proszę mi przynieść tę kartę, bo jak nie, to odeślę pacjenta...

Stoję w kątce – w pidżamie – i czekam cierpliwie na rozwój wypadków. Jest dla mnie korzystny, ponieważ karta chorobowa została odnaleziona.

Gdy znów leżę pod prześcieradłem, za obrabianie mnie bierze się ta najtęższa z czterech asystujących. Najpierw twierdzi, że nie umiem jak należy wypiąć tyłka do badania, a kiedy w końcu dochodzimy do konsensusu i tyłek jest odpowiednio wypięty, otwiera na mnie buzię za to, że ośmielałem się pytać, czy mnie znieczulono. Czuję, że objeżdżając mnie z góry do dołu, bierze odwet za kiepską płacę, męża pijaka i może za to, że musi pracować między chorymi...

Nie wytrzymuję, wybucham, ale tylko na chwilę, bo tęga pani w kitlu ma nade mną przewagę – to ona będzie mi wsadzać za chwilę rurę do tyłka, a nie ja jej. I może to robić boleśnie i bezboleśnie... Wolę, żeby robiła bezboleśnie – daję za wygraną, a za chwilę zastrzyk wstrzyknięty do wenflonu usypia mnie, tak że zapominam o zdarzeniu, a panie mogą spokojnie gospodarować w mojej tylnej części ciała.

Oko w oko ze skórą!

Na oddziale chirurgii ogólnej u Henryka Łabzy, snując się po korytarzach, oglądam plansze. Jedna z nich pokazuje przekrój zwykłej ludzkiej skóry, która jest niezwykła! Naprawdę! Nagle to sobie nieuk uzmysławiam! Odkrywam, stając z planszą oko w oko, że nigdy – od czasów szkolnej biologii – ani razu nie pomyślałem, jak skomplikowanym tworem jest skóra! Zdumiewająca mnogość mikrocząstek, komórek, gruczołów, zwojów, kanałików, nerwów i Bóg wie czego, spiętrzonych w trzech warstwach, kłębiących się jak przewody i przewodziła w tej złożonej, a działającej jak w szwajcarskim zegarku części ciała izolującej nas od środowiska, jest żywym odnawiającym się organem spełniającym wiele fizjologicznych funkcji i odgrywającym rolę parasolki – tarczy przeciwśłonecznej.

Stoimy przez chwilę z doktorem Henrykiem przed tą planszą i medytujemy nad nieskończoną złożonością i zagadką Mikroświata i Makroświata. Jak zwykle w takich okolicznościach ciśnie się pytanie, czy to ktoś wymyślił, czy samo się tak precyzyjnie wymyśliło i ułożyło? Przecina filozofię żartem: – A pan tak – mówię do chirurga – bierze w ręce lancet i ciach!, przecina jednym barbarzyńskim ruchem ręki...

Na sali, wertując jakieś kolorowe czasopismo, natykam się z kolei na reportaż o kosmonautach i na zastanawiające słowa jedyne Polaka pośród gwiazdnych podróżników, Mirosława Hermaszewskiego: „Dopiero z kosmosu widać wielkie uporządkowanie Wszechświata. Harmonię. I nagle kto zna mechanikę nieba, zaczyna sam siebie pytać, gdzie jest środek tego kosmicznego wiru. I kto kręci korbą. Ktoś, kto tam siedzi w środku – nie ma innego wyjścia. Bóg. Kiedy się tam polecą, to staje się oczywiste. Nie znam kosmonauty, a jest ich już blisko 500, któryby wyleciał niewierzący wierzący wrócił. A wiara wierzących się pogłębia. Konsekwencja praktyczna? Koniec lęku przed śmiercią. I skłonność do robienia czegoś dla innych”.

Izet Sarajlić

Odkryłem dla siebie najpopularniejszego poetę bośniacko-hercegowińskiego Izeta Sarajlicia. Uśmiech, paradoks, skrót, ciepła serdeczna nuta. Naprawdę świetny, jednocześnie zaskakująco prosty.

cdn.

